

Śmieciuszewska-Rościszewska, Janina

Kartka z dziennika (19 sierpnia 1920 r.)

Notatki Płockie 57/4(233), 20-23

2012

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KARTKA Z DZIENNIKA (19 SIERPANIA 1920 R.)

Abstrakt

Tekst jest fragmentem dziennika, prowadzonego przez Janinę Śmieciuszewską od 1915 r. 18 sierpnia 1920 r. 16-letnia wówczas Janina Śmieciuszevska, członkini Służby Narodowej Kobiet Polskich, była jedną z organizatorek oporu wobec zajmujących Płock wojsk bolszewickich. Na czele za improwizowanego oddziału broniła rejonu Rynku Kanonicznego, a następnie pomagała rannym, m.in. ratując od niechybnej śmierci jednego z żołnierzy. Za swoją postawę została 10 kwietnia 1921 r. odznaczona przez marsz. Józefa Piłsudskiego Krzyżem Walecznych

Słowa kluczowe: wojna polsko-bolszewicka 1920 r., obrona Płocka w 1920 r., Janina Śmieciuszevska–Rościszewska

19 sierpnia 1920 r.

To ci dzionek przeżyłam. Nigdy go nie zapomnę! Wczoraj rano, spełniając rozkaz komendantki Służby Narod.[owej] Kob.[iet] Pol.[skich] pojechałam do okopów rozdać żołnierzom czystą bieliznę i środki opatrunkowe. Byli ze mną dwaj żołnierze do pomocy. Strzelali, więc konie z furą zostawiliśmy na przedmieściu i ruszyliśmy polem do okopów. Żołnierz zbierał brudną bieliznę do naszej pralni, a ja wydawałam czystą. W okopach nie było wesoło. Wszyscy byli bardzo przygnębieni. Był to oddział spieszony Jazdy Tatarskiej². Starłam się dodać im otuchy, mówiąc, że wszystko będzie dobrze, choć sama nie bardzo w to wierzyłam. Bo i jak może być dobrze, jeśli np. przy karabinie maszynowym nie ma wiadra do wody. Cóż oni zrobią? Postukają trochę, karabin się rozgrzeje i – kaput! Także z mapami okropność! Pytali mnie oficerowie, czy nie mamy w naszej organizacji mapy okolicy Płocka. A i te okopy – pożał się Boże jakie – ledwie głowę w nich można schować, a w dodatku nie ma łączności, przerwy ogromne między jednym odcinkiem a drugim. Trzeba przebiegać gołym polem. I jak tu łączność utrzymać?

Byłam niespokojna, bo starałam się tego nie okazywać. Tatarzy siedzieli ponurzy, wzdychając do swoich koni, bo to z braku piechoty wsadzili ich do tych okopów. Z ciężkim sercem dobrnęliśmy do ostatniego punktu. Dalej już nie było wojska. Podobno poszli naprzód odbierać bolszewikom jakąś wieś, zdaje się Trzepowo i okopy w tej części miasta nie były bronione. Były puste, bo rezerwa jeszcze nie nadciągnęła. Atak miał nastąpić w każdej chwili. Objuczeni worami z brudną bielizną skakaliśmy po polu od dołka do dołka, niczym żaby i tak dostaliśmy się do przedmieścia, do naszych koni.

Z oddali dochodził coraz głośniejszy grzechot strzałów karabinowych i maszynowych, a także grzmot artylerii. Po powrocie do gimnazjum, gdzie mieściła się Służba Narod. Kobiet Polskich³, zdałam w pralni bieliznę, złożyłam raport i wracam do domu. Aż tu patrzę: coraz więcej żołnierzy zaczyna biec od strony, w którą idę. Byłam, akurat naprzeciwko cerkwi⁴. Patrzę – biegnie znajomy doktor wojskowy⁵. Pytam – „Co się stało?” On biegnie, więc i ja przyłączam się do niego, pytając – „Co się stało?” (Nie znam jeszcze tak dobrze miasta, myślałam, że spieszy do szpitala). Nim mi zdołał odpowiedzieć, zobaczyłam już w dole zza drzew Wisłę i zapchany żołnierzami most. Na moje pytanie odpowiedział wreszcie: – „Widzi siostra, uciekamy! Bolszewicy w mieście!” (Nazywają mnie nieraz siostrą z racji białego fartucha i chusteczki). Powiedziawszy to wmieszał się w tłum uciekających.

Zatrzymałam się i patrzę. Jakiś żołnierz – sanitariusz, uciekając wsypał mi do fartucha moc paczek opatrunkowych. Machinalnie zawinęłam je w połach fartucha, by ich nie pogubić i patrzyłam dalej w osłupieniu, co to wszystko znaczy. Nagle przypomniał mi się podobny obraz uciekającego wojska, jaki widziałam pod Wilnem w 1919 r. Uciekali wtedy bolszewicy... Uczułam, że nie będę mogła żyć z tym wspomnieniem: to i nasi też tacy!... Co znaczy jedno moje życie – głupstwo!

Pobiegłam do gromady żołnierzy, którzy nie mogąc się dostać na most rzucali ładownice i karabiny, chcąc się widocznie wplaw przedostać na drugi brzeg. Ogarnął mnie taki spokój, że słyszałam i widziałam wszystko dziwnie prędko i jasno. Wysoko nad nami z prawej strony było słyszeć trzask karabinów maszynowych. Tam widać – walczą! Z lewej strony koło katedry – cisza...

Stałam wśród tych uciekinierów i zaczęłam im mówić o tym, że trzeba tam iść, ale nikt nie słuchał. Wtedy chwyciłam porzucony karabin wołając: – „Chłopczy, to nie takie straszne! Ja wracam do miasta! Kto ze mną?” Jakis mały, może dwunastoletni łobuziak nadwiślański podniósł drugi karabin i pobiegliśmy pod górę ulicą Mostową. Żołnierze nagle otrzeźwieli. Kilkunastu chwyciło karabiny w ręce i biegliśmy razem. Po drodze dołączyło się do nas jeszcze kilku żołnierzy i ranny w palec oficer, którego próżno starałam się przekonać, żeby objął nad nami dowództwo⁶. Tłumaczył się, że to „nie jego oddział”, że „nie wie co ma robić i nie zna miasta”, ale biegł z nami. I tak się jakoś śmiesznie złożyło, że wszyscy robili to, co ja. Gdy zatrzymywałam się – i oni stawali, gdy biegłam – i oni biegli ze mną. Serce kołatało, pulsowało okropnie, a przez głowę przebiegały tysiące myśli – „Czy robię dobrze? Czy nie mieszam jakichś planów wojskowych? Czy może niepotrzebnie narażam tych żołnierzy, co mi zaufali? itp. itp.”.

Kule zaczynały prażyć. Dopadliśmy jakichś murów. Żeby nie narażać życia żołnierzy posuwaliśmy się dalej ostrożnie, przykuleni. Wyrztałam przez druty, jakie były na tym murowanym ogrodzeniu, co jest przed nami. Okazało się, że po tym placu przed odwachem⁷ jeździli już na koniach bolszewicy. Cofnęłam się do naszych i zza tych murowanych ogrodzeń gruchnęliśmy do nich salwą (ja nie strzelałam, bo oddałam karabin i trzymałam wciąż te opatrunki). Paru zachwiało się, jeden runął z konia, a reszta – zwiątała ku placowi przed Magistratem⁸. Plac więc przed odwachem był w naszym ręku. Ponieważ z niego rozchodziło się parę ulic, trzeba była zabezpieczyć tyły idąc naprzód. Oficer sam więc z paru żołnierzami obsadził wyloty ulic⁹, a ja z resztą pobiegłam w wąską uliczkę, która biegła od sądu i teatru do placu przed Magistratem. Myślałam, że idąc tą wąską uliczką (Gimnazjalną) obejdziemy ich i zaskoczymy, bo w tę, którą uciekali, nie warto było iść. Oczekiwali nas tam i przygotowali się, a jakby zobaczyli nasze małe siły, przeszliby niechybnie do ataku. Gdy wbiegliśmy w Gimnazjalną, na przeciwległym końcu której mieścił się klasztornek sióstr Matki Bożej Miłosierdzia zobaczyliśmy, że tam właśnie stoi konny oddział. Z daleka wyglądał na Jazdę Tatarską (Istotnie, jak się później dowiedziałam ubrany był w mundury pozdierane z pozabijanych Tatarów „naszych”¹⁰).

Zrobiłam tu okropne głupstwo, którego nie zrobiłby żaden prawdziwy dowódca. Zamiast zbadać kto i co, jak skończona idiotka zawołałam: – „Chłopczy, to nasi, Tatarzy!” Zwiódło mnie i to, że oni machali do nas rękoma, wołając – „swoi, swoi”. Jak skończony bałwan rzuciłam się naprzód w ulicę, a moi za mną! Ubiegliśmy

parę kroków, gdy gruchnęła salwa. Szczęściem zgórowali i nic nikomu się nie stało. Zdążyliśmy z powrotem dopaść murów i kryjąc się za róg ulicy oddaliśmy pięknym za nadobne. Oni więc też musieli się skryć za tamten róg. O posuwaniu się naprzód nie można było myśleć. Trzeba więc było bronić tego placu i trzymać go za wszelką cenę, bo przecież to droga na ten zapchany most.

Waliliśmy więc jedni do drugich, obtłukując tynki i mury tak, że w końcu kurzem okryci wyglądaliśmy jak młynarze. Aż tu skądś z boku (jak dziś wiem od strony ogrodów mariawickich) zaczęły się na nas sypać kule. Ten i ów obejrzał się trwożnie. Wciąż oczekiwałam, że przyjdzie nam ktoś z pomocą, ale nic i nic. Zaczęłam się w duchu niepokoić, kto wie, może źle robię, trzymając się tu, może tam w sztabie mieli inne plany, a ja tu psuję, a w dodatku narażam niepotrzebnie życie tej gromadki, która tak dzielnie trzyma się bez dowódcy. Ten i ów zaczął się wycofywać za gmach sądu i wkrótce zostałam sama z dwoma żołnierzami, ostaniając ten odwrót. Cofnęliśmy się w końcu i my do tego ogrodu. Widać już było w dole Wisłę... Tu nas dosięgły kule. Jeden z żołnierzy padł zabity na miejscu. Drugi ranny został w kolano. W pierwszej chwili instynktownie chciałam biec dalej, ale opanowałam się. Nic tam już po mnie, a tu obowiązek nakazuje zostać z tymi, których na śmierć prowadziłam. O jedną dziewczynę mniej – dziury w niebie nie będzie...

Temu, co upadł twarzą do ziemi nic już pomóc nie mogłam. Nachyliłam się nad drugim. Zauważyłam, że był to widocznie świeży ochotnik, bo nie miał nawet munduru, tylko sportowe ubranie. Nie biorąc się do opatrunku, zdjęłam mu czym prędzej pas z ładownicami i razem z karabinem i legitymacją żołnierską (Stanisława Jeziorańskiego) wyrzuciłam to w gęste krzaki.

Wtedy dopiero zaczęłam robić mu opatrunek upominając, by mówił bolszewikom, że jest rannym robotnikiem, który przypadkowo tu się znalazł i nie ma nic wspólnego z wojskiem. Zaledwie zdążyliśmy się umówić, gdy zza gmachu sądu wyjechał oddziałek bolszewickiej kawalerii. Zobaczywszy nas z daleka zmierzili do nas z karabinów. Wstałam, wysunęłam się naprzód i – podnosząc ręce do góry – zawołałam: – „Nie strzelajcie! Tut niet sołdat! A tot ranienyj raboczij naszolsia zdies słuczajno!”¹¹ Podjechali wówczas do nas śmiało. Wiedzioną dziwnym jakimś wewnętrznym nakazem podsunęłam się do nich bliżej, poklepałam po karku pięknego konia, tego co jechał przodem pochwaliłam, że jest ładny i zapytałam spokojnie, czy są z oddziału słynnego Budionnego.

Odpowiedzieli: „Niet, Budionnyj tiepier na jugu, my kubanskije kozaki”¹². Powiedziałam,

że przyjemnie mi poznać kubańskich kozaków, którzy dzielnie bili Niemców, znają się na prawie wojennym i na pewno nie zabiją bezbronych. Patrzyli na mnie jakby zdziwieni. W końcu jeden z nich zawołał ukazując rannego: – „A eto kto?”. Powiedziałam, że ranny robotnik, a on na to: – „Nu charaszo, tak my jego i prikończym, puść nie muczitsia”¹³ i rzucił się na rannego. Zastoniłam go rękoma, wołając: – „To wstyd, żebyście mogli podobnie myśleć!”

Zaczęli się między sobą kłócić. Jedni krzyczeli „ubić!”, inni – „nie!” W końcu jeden z nich, ten, co jechał przodem, powiedział: – „Nu charaszo! Iдите siostra wpieriod i pokazywajtie, gdzie zdiess waszi”¹⁴. Powiedziałam, że jestem na froncie dla robienia opatrunków, a nie prowadzenia żołnierzy, którzy wstydziliby się przeciw babskiego przewodnictwa. Uśmiechnął się (inni też) i powiedział: – „Nu charaszo! Gawarit to wy umiejetie. No, wsio taki, wy gieroj siostra. U nas takich niet, czto pod pulami s raniienymi sidiat. – A u nas wsie!”¹⁵ zawołałam za odjeżdżającymi.

Nie kończąc opatrunku, którego nie rozpoczęłam nawet, pomyślałam, że trzeba drapnąć z tego miejsca. Przyjdzie inny oddział, która nas bliżej widział i może być źle. A jeśli dadzą tupnia tym, co pojechali, to wracając zemszczą się na nas. Trzeba uciekać, ale jak? Ranny iść nie może. Podciągnęłam go z trudem do muru. Mówił, że nie może stanąć, wił się z bólu. Powiedziałam, że nie ma gadania, musi i koniec. Dźwignęłam go jakoś w górę i – nie słuchając jego jęków – ciągnęłam w uliczkę do najbliższej bramy. Szedł. Opierał się o mur i o mnie. Jak na złość pierwsza brama była zamknięta. Dopiero drugą udało mi się otworzyć. Weszliśmy, a raczej – wtoczyliśmy się na podwórze. Ranny osunął się na brzuch, a ja czym prędzej zatarasowałam bramę. Zobaczyli nas ludzie z okien sutereny i wybiegli nam na pomoc. Wciągnęli nas oboje półprzytomnych do tych suteren. Tam rannym zaopiekowały się kobiety, a ja chwilę odpoczęłam, po czym postanowiłam iść, bo może tam, na ulicy jeszcze ktoś potrzebuje pomocy.

Mój dzielny żołnierz Stanisław Jeziorański zaczął mnie prosić, żebym nie szła, bo mogą tam być bolszewicy. Powiedziałam mu, że on bohatersko do końca spełnił swój obowiązek, a ja jeszcze swego nie spełniłam, a mam pełen fartuch opatrunków. Pożegnaliśmy się. Wybiegłam na ulicę. Na placu przed odwachem, któryśmy najpierw zdobyli, byli nasi. Między nimi i ci, co ze mną przyszedli z Wisty. I ten ranny w palec oficer, a obok niego drugi energicznie komenderował obroną i kazał budować barykady (Dowiedziałam się dziś, że to był porucznik Edward Świstelniczy). Kamień z serca mi spadł. A więc nie na próżno poszły nasze wysiłki i zrobiliśmy widać to, co trzeba było zrobić. Zgłu-

białam z radości. Dopadłam do tego porucznika Świstelniczego i plotłam mu coś, czego nie mogę sobie przypomnieć. Dowiedziałam się od niego, że sytuacja w mieście jest już opanowana i że będziemy się bronić do upadłego.

Okazało się, że mimo posiłków i tego dzielnego oficera nie mogliśmy się dalej posunąć i tkwiliśmy na tych pozycjach, jakieśmy za pierwszym razem zdobyli. Rannych było tylko dwóch, a i tych zabrano do domów ludność cywilna. Byli lekko ranni, a tam był i doktor i apteka w pobliżu. W ogóle ludność cywilna, gdzie tylko mogła – pomagała. Jakaś dzielna dziewczyna nosiła wodę spragnionym żołnierzom, inni znosili paczki i ziemię na barykady. Jakiś staruszek przypłacił to życiem i został zabity obok tego bolszewika, co padł, gdyśmy dali pierwszą salwę.

Z papierów tego kozaka dowiedzieliśmy się, że to był „komisar Priwiezencew”. Śmierć staruszka spędziła z placu ludność cywilną. Ja stałam wówczas koło rannego przy słupie ogłoszeniowym. Opatrywałam go, ale ruszyć się nie mogłam poza ten słup, bo natychmiast z Warszawskiej padały salwy. I tak on leżał, a ja przy nim stałam. Z każdej bramy jednak leciały ku nam życzliwe spojrzenia i pomoc dla żołnierzy: papierosy, owoce, różności. W tym współdziałaniu cywili z wojskiem było coś tak wzruszającego, że uklęknęłam za tym słupem Bogu dziękując za to zjednoczenie serc w wielkim pragnieniu zwycięstwa. Przypomniało mi się, jak to u nas w Maciejkowie Niemcy sztychili, że przeciw gołymi rękoma Polski nie wywalczymy. A oto Bóg sprawił, że ich karabinami wojujemy.

Takie różne myśli przychodziły mi do głowy za tym słupem ogłoszeniowym koło tego rannego, którego w żadnym sposób nie dawało się stamtąd zabrać, choć widziałam, że chcieli mnie z nim wyciągnąć. Tak, tak, bo „Polska to wielka rzecz”. Dopiero, gdy na dobre się ściemniło, nadbiegł porucznik Świstelniczy z dwoma żołnierzami. Położyli rannego na kocu i tak stamtąd wyszli cało. Żołnierze pilnowali rogów ulic i tej barykady. Było ciemno. Rannych nigdzie już nie było.

Jakaś dziewczyna, co i przedtem nam pomagała, wciągnęła mnie do bramy mówiąc: – „Niech siostra u nas odpocznie!” Poszłam za nią do jakiegoś mieszkania na piętrze. Tam, gdy ze zmęczenia usiadłam na dywanie, wyjrzał na mnie zza kanapy chowający się tam jakiś wąsal. Moja dobra opiekunka, która była jego służącą, przyniosła mi gruszek, które mnie bardzo orzeźwiły.

Ponieważ strzelanina ucichła, pan domu wyszedł spod kanapy i razem ze swą matką staruszką uradzili, że najbezpieczniej będzie w jego aptece¹⁶. Poszliśmy więc do jego apteki. Po drodze zauważyłam, że jakoś więcej zrobiono się

wojska. Przedrzemaliśmy w owej aptece do świtu. Podziękowałam gospodarzom i wyszłam na ulicę. Rzeczywiście, widocznie nocą nadciągnęły posiłki i moc było wojska. Byli i tacy podobno podhalanie z piórkami¹⁷. Zajęliśmy się z tą moją opiekunką szykowaniem herbaty dla zmęczonych żołnierzy.

Tymczasem nad miastem zaczął krążyć samolot z za Wisły, zagrzmiały działa. Zakotłowaliśmy się i nasi z placu ruszyli naprzód. Poszłam i ja za nimi, bo właśnie w ulicę za placem magistrackim miała kwatery uciekinierską moja mama z rodzeństwem. Po drodze jacyś ludzie cywilni łapali mnie za ręce, za coś dziękowali, coś mówili. Jakiś stolarz gwałtownie wcisnął mnie z in-

nymi do swego zakładu i z trumny wyciągnął butelczyny tam chowane. Częstował całe to towarzystwo wołając, że pije moje zdrowie. Ledwie się wykręciłam z całego tego towarzystwa mówiąc, że jestem skautką i nie piję. Uciekłam. Ulice pełne były ludzi. Oglądano zniszczenia, opowiadało o dzikości kozaków. Karetka pogotowia zabierała rannych i zabitych. Szłam jak we śnie ze zmęczenia i wzruszenia, że jednak daliśmy im radę.

Odpisane z dziennika prowadzonego od roku 1915

Szaniec, 4/XII-74

Janina ze Śmieciuszewskich–Rościszewska

Źródło - Dział Rękopisów TNP, sygn. R.- 537, spuścizna po Marcelinie Rościszewskiej

Przygotował do druku
– Grzegorz Gołębiewski

Przypisy

- ¹ Była nią Marcelina Rościszewska, późniejsza teściowa autorki dziennika, ponieważ Janina Landsberg–Śmieciuszewska wkrótce wyszła za mąż za jej syna Lecha Rościszewskiego.
- ² Spieszony szwadron dowodzony przez rtm. Włodzimierza Rychtera z tatarskiego pułku ułanów.
- ³ Gimnazjum Żeńskie im. Hetmanowej Reginy Żółkiewskiej przy ul. Kolegialnej 23.
- ⁴ Na pl. Floriańskim.
- ⁵ Mjr dr Tadeusz Mejer, oskarżony później o pozostawienie szpitala, tłumaczył się poleceniami gen. M. Osikowskiego, został uniewinniony.
- ⁶ Dotychczas nie udało się zidentyfikować owego oficera.
- ⁷ Plac Kanoniczny.
- ⁸ Stary Rynek.
- ⁹ J. Landsberg–Śmieciuszewska w swoich relacjach wymieniają por. Iskander Achmatowicz i rtm. Romuald Borycki. Zob. I. Achmatowicz, *Obrona Płocka w roku 1920 (wspomnienia uczestnika)*, „Rocznik Tatarski”, t. 1, 1932, s. 244; R. Borycki, *Epizod z wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. Płock, VIII 1920 r.*, przygot. do druku G. Gołębiewski, „Notatki Płockie” 2010, nr 1, s. 28.
- ¹⁰ Spieszony szwadron tatarskiego pułku ułanów został rozbity w czasie walk pod Trzepowem.
- ¹¹ Nie strzelajcie! Tu nie ma żołnierzy! A ten ranny robotnik znalazł się tu przypadkowo.
- ¹² Nie, Budionny teraz jest na południu, a my jesteśmy kubańskimi kozakami.
- ¹³ No dobrze, więc my skończymy z nim, nich się nie męczy.
- ¹⁴ No dobrze, idź siostrzo naprzód i pokazuj, gdzie są wasi.
- ¹⁵ No dobrze. Mówić to wy umiecie. Ale wszystko jedno jesteście bohaterem. My takich nie mamy, które by pod kulami opiekowały się rannymi. – A u nas takie wszystkie.
- ¹⁶ Właścicielem apteki był wtedy Bolesław Włodkowski, założyciel i pierwszy prezes Płockiego Towarzystwa Racjonalnego Polowania. Strzelać więc umiał, ale widocznie odwagi starczyło mu tylko do zabijania zwierząt (informację identyfikującą B. Włodkowskiego zawdzięczałam kierowniczce Działu Historii w Muzeum Mazowieckim p. Barbarze Rydzewskiej). Biogram B. Włodkowskiego zob. – A.J. Papierowski, J. Stefański, *Płocczanie znani i nieznan*, Płock 2002, s. 638–639.
- ¹⁷ I batalion 102 pułku strzelców podhalańskich.

A CARD FROM A DIARY

Summary

On the 18th August 1920 the 16-year-old Janina Śmieciuszewska, a member of the National Service of Polish Women was one of the organisers of resistance to the Bolshevik forces, which were occupying Płock. At the head of an improvised branch she was defending an area near the Canon Market, and next she was helping the wounded, she saved one the soldiers from certain death. For her conduct Marshal Józef Piłsudski decorated her with the Cross of Valour by on the 10th of April 1921.